

XVI widać nie tylko w Polsce, ale także tam, gdzie Kościół w ostatnich dekadach umierał, a teraz odżył dzięki wydobywaniu ze skarbca rzeczy i nowych, i starych. ■

---

## **Ks. Jarosław Tomaszewski**

Jeśli sięgam dobrze pamięcią do przeszłości, to mój wzrost duchowy, wspierany udziałem w Mszy Świętej Wszechczasów, rozpoczął się od męczących dyskursów, wątpliwych kwestii i niepokoju. Gdzieś na wysokości roku 2010 przymierzyłem się na polu duszpasterskim do tego, czego od dawna poszukiwałem, czyli początku katechezy dla dorosłych w Płocku. Działania, w całej swej prostej formie, szły dobrze, ludzie odpowiadali chętnie na zaproszenia, aż do chwili, kiedy na jednym ze spotkań pojawili się tak zwani tradycjonaliści. Świętej pamięci ks. Jan Kaczkowski ośmielał się – z właściwym dla siebie, choć dla wielu dokuczliwym, wdziękiem i humorem – nazywać ich „talibami”. Jak zwykle doszło do bezpodstawnego sporu, który kontynuowaliśmy potem z uporem godnym lepszej sprawy, nawet na łamach lokalnej prasy. Obudziło to we mnie wiele sprzeciwów, uprzedzeń i nieufności – dziś, po wielu latach, jesteśmy przyjaciółmi w gronie tych, z którymi przychodziło nam toczyć uprzednio teologiczne i donkiszotowskie zresztą potyczki.

Pierwszy impuls czasem dyktuje warunki postępu. Nigdy nie zbliżyłbym się zapewne do nadzwyczajnej formy rytu rzymskiego, gdyby nie szczerą, kapłańska

przyjaźń z księdzem Marcinem Węclawskim. Od pierwszych lat bycia księdzem w Polsce – ceniąc to sobie nadzwyczaj – brałem regularny udział w kursach formacyjnych organizowanych przez Opus Dei dla kapłanów diecezjalnych. Na jednym z podobnych kursów pierwszy raz spotkałem Marcina. Był ode mnie starszy, miał więcej doświadczenia i znacznie szerszy wówczas ogląd katolickiej panoramy świata. Podczas kursów w Dziele proponowano nam – obok szanowanej tam koncelebry – możliwość sprawowania Mszy świętej indywidualnie. Dobieraliśmy się wówczas po dwóch. Najpierw jeden przewodniczył, a drugi posługiwał, następnie zaś było odwrotnie. Poranki kapłańskich kursów zawsze wypełnione były eucharystycznym duchem, w skupieniu, przygotowaniu i dziękczynieniu, bez pośpiechu. Ale to nie przypadkowy lub tak zwany ślepy los złączył mnie w tych celebracjach o świcie z Marcinem.

Podczas jednego ze spacerów, chyba w drugim dniu pobytu na kursie, rozmawialiśmy w szerszym gronie również o Mszy świętej. Pamiętam, że ks. Marcin powiedział wówczas coś, co na zawsze zapadło mi w sercu: „Nie mam nic przeciwko soborowej reformie liturgii – kontynuował pośród drzew parku swoje przemyslenia proboszcz z Poznania – ale zupełnie nie rozumiem, dlaczego reformując Mszę świętą, usunięto z rytuału pocałunki. Przecież to jest ludzki, najprostszy wyraz miłości, czułości, bliskości. W zreformowanej po Soborze formie Mszy świętej mogą tylko dwa razy ucałować ołtarz, a w Starej

Mszy mam ten przywilej wielokrotnie”. Usłyszałem w tym wywodzie szczerą tęsknotę mistyka. Od tamtego dnia sprawowaliśmy Mszę świętą w rycie nadzwyczajnym codziennie we dwóch, rozkoszując się nie tylko nieskończoną ilością Bożych pocałunków księgi, stuły czy ołtarza. Ksiądz Marcin z cierpliwością starszego brata korygował moje błędy, tłumaczył sens znaków i gestów, poszerzał kontekst o zdumiewające mnie aspekty i cierpliwie uczył niezmiernie głębi starej liturgii.

Dlaczego więc, od tamtej chwili, szanuję nadzwyczajną formę rytu rzymskiego? Wszyscy chyba jesteśmy świadomi, że cywilizacja dziś zmieniła człowieka tak radykalnie, iż kieruje się on odmienną niż wczoraj wrażliwością, inne zgoła znaki budzą jego ciekawość oraz różne niż wcześniej impulsy zmuszają go do refleksji. To oczywiste więc, że i chrześcijanie muszą odnowić, przemyśleć raz jeszcze, zintensyfikować wysiłek zawarty w pytaniu: jak odwieczny przekaz wiary zmieścić w mentalności współczesnego człowieka? Jednocześnie myślę, że w ewangelizacji zawsze i w każdym czasie musi chodzić o to samo: by przez Kościół człowiek doszedł do Boga. Jeśli dziś doświadczamy na tym polu pewnej jałowości, to być może dlatego, że myśląc o procesie odnowionej ewangelizacji, zaplątaliśmy się w archiwach teoretycznych, pastoralnych pojęć, gubiąc z zasięgu wzroku doświadczenie Boga. Człowiek zbliża się do Stwórcy nie za pomocą metodyki szkół ewangelizacyjnych, lecz poprzez dar życia wewnętrznego, które ma swoje etapy, chwile wtajem-

niczenia, postępu i oczyszczeń, ceni czas stopniowego wzrostu, akcentuje nawrócenie, ubogaca ducha modlitwy, wreszcie doprowadza adepta życia duchowego od nawrócenia do zjednoczenia z Bogiem w świętości. Osobiście wszystkie te bezcenne chwile nazywane procesem życia wewnętrznego rozpoznaję i widzę w całości w nadzwyczajnym, trydenckim rycie Mszy świętej, z jej szacunkiem do ciszy i skupienia, z oddawaniem pierwszeństwa Bogu, z mistycznym introitem, który jest dla mnie wręcz symbolem drogi duchowej każdego człowieka.

Mówiąc krótko: dziś w Mszy Świętej Wszechczasów w Kościele katolickim nowego tysiąclecia konserwowana jest bez utraty logika tej zasady, która decyduje o postępach wielu dusz w wierze: *lex orandi, lex credendi*. Jak się będziesz modlił, tak będziesz i wierzył. A będziesz wierzył dokładnie tak, jak się modlisz. Nie możemy narzekać na powszechny proces apostazji świata, jeśli w procesie formacji życia wewnętrznego, a nawet w liturgii, zdecydowaliśmy się od pewnego czasu przesadnie postawić na człowieka, na jego emocje i przeżycia. Gdzie szanuje się prawo modlitwy, zwracając człowieka od niego samego ku Bogu, tam w duszach odnawia się prawo wiary. I gdzie w ludzkim sercu rozrasta się prawo wiary, tam człowiek radykalnie szuka kontemplacji, skupienia i pogłębionej modlitwy oraz odpocznienia w Bogu od samego siebie. Ufam, że w tym wyraża się istota życia duchowego oraz istota nadzwyczajnej formy rytu rzymskiego. Te dwa światy są naprawdę zbieżne.

Odprawiałem regularnie Mszę Świętą Wszeczasów tylko rok – w środowisku płońskim. Trudno mi orzekać o owocach. Ale pamiętam, że gdy przyszło mi wyjeżdżać z Płońska na misję, grupa ministrantów z Mszy trydenckiej podarowała mi tablice ołtarzowe i stary, skrzypcowy ornat z dedykacją: Niech ksiądz odprawia Tridentinę tam, za oceanem. Spełnienie tego życzenia jeszcze nie było możliwe. Bardzo skomplikowany kontekst ideologiczny Kościoła Ameryki Łacińskiej, zainfekowanego w poważnym stopniu teologią wyzwolenia i modernizmem, sprawił, że nigdy nie przyjęto tu do wiadomości przesłania i zaleceń *Summorum Pontificum*, dokumentu przedstawionego Kościołowi uniwersalnemu już dziesięć lat temu. Nie mam zamiaru tym się zrażać, lecz tym, którzy korzystając z prawa wolności, codziennie uczestniczą w liturgiach łacińskich, kładę na sercu fundamentalne dla życia wewnętrznego zagadnienie pragnienia, tęsknoty, oczekiwania: jak łania pragnie wody ze strumieni... ▣

## **Tomasz Warowny**

Jestem jednym z „dzieci *Summorum Pontificum*” – dzięki decyzji Benedykta XVI, szukając jako młoda osoba swojego miejsca w Kościele powszechnym, po raz pierwszy zainteresowałem się kwestiami starej liturgii, reform soborowych i tradycyjnej duchowości.

Pośrednio dzięki temu zaangażowałem się w organizację wychowawczą, czyli w Skautów św. Bernarda z Clairvaux, i to

głównie przez jej pryzmat dostrzegam, jak na pewnym odcinku zmienił się Kościół przez ostatnie dziesięć lat.

Po pierwsze, myślę o wprowadzeniu wokół tematu tradycyjnej Mszy świętej elementu spokoju i normalności. Wielokrotnie podczas działalności skautowej, czy to podczas wędrówek po Polsce, czy w Warszawie, można było się przekonać, że dla coraz większej liczby ludzi Kościoła (kleru, jak i świeckich) rzeczywistość bycia „tradycjonalistą” nie jest od razu dziwactwem czy czymś, co kojarzyłoby się negatywnie. W czasie jednej z corocznych letnich wędrówek najstarszej gałęzi wiekowej naszego ruchu – wędrowników, wraz z księdzem duszpasterzem trafiliśmy do niewielkiej wiejskiej parafii na Śląsku Opolskim. Ksiądz proboszcz, gdy dowiedział się, że kapłan wędrujący z nami odprawia Mszę świętą tylko w nadzwyczajnej formie, zaproponował mu, aby w niedzielę odprawił w ten sposób jedną z Mszy parafialnych. Na pytanie, czy nie byłby to problem dla jego parafian, odrzekł: „Ludzie na co dzień mają tutaj taką zwykłą liturgię po polsku, niech zobaczą, jakiej liturgii życzy sobie Ojciec Święty”.

Ta historia jest jedną z wielu, jakie przeżyłem, deklarując przywiązanie do starej formy Mszy świętej ludziom mającym doświadczenie tylko z *Novus Ordo*, i pokazuje, że powoli zmienia się optyka w Kościele oraz że nurt związany z tradycyjną liturgią zyskuje podmiotowość i powinien powoli leczyć się z syndromu „obłączonej twierdzy”.